



KEN
KESEY

LOT NAD
KUKUŁCZYM
GNIĄZDEM

Są na korytarzu.

Czarni sanitariusze w białych uniformach, którzy wstali przede mną, żeby odwalić sztosy i uprzątnąć ślady, zanim ich przyłapię.

Szorują posadzkę, kiedy wychodzę z sypialni, wszyscy trzej ponurzy i do wszystkiego ziejący nienawiścią: do wczesnej pory, szpitala i pacjentów, którymi muszą się zajmować. Wolę się im nie pokazywać, kiedy żre ich tak silna nienawiść jak teraz. Jestem w tenisówkach, więc cicho niby mysz skradam się pod ścianą, ale ich czułe detektory rejestrują mój strach i sanitariusze – wszyscy trzej naraz — unoszą głowy. Z czarnych twarzy patrzą na mnie oczy połyskujące metalicznym blaskiem lamp radiowych w starym odbiorniku.

— Chłopaki, idzie Wódz! Potężny Wódz. Stary Wódz Szczota. Łapaj, Wodzu...

Wtykają mi w garść zmywak i pokazują, gdzie mam dziś sprzątać. Kiedy ich mijam, któryś wali mnie kijem od szczotki po łydkach, żebym się pospieszył.

— Ha, ha! Patrzcie go, ale posuwa! Chłop wielki jak drabina, a posłuszny jak dziecko!

Śmieją się, a potem schylają głowy i mruczą coś za moimi plecami. Szum czarnych automatów, szemrzących nienawiścią, śmiercią i innymi szpitalnymi tajemnicami. Bez obaw mówią przy mnie o swojej skrywanej nienawiści, bo myślą, że jestem głuchoniemy. Wszyscy tak myślą. Jestem dość przebiegły, żeby się nie zdradzić. I jeśli na tym parszywym świecie cokolwiek zawdzięczam temu, że jestem półkrwi Indianinem, to właśnie tę odrobinę przebiegłości, która pozwala mi udawać głuchoniemego przez te wszystkie lata.

Myję posadzkę przy drzwiach wejściowych, gdy nagle ktoś wsuwa klucz do zamka; poznaję natychmiast, że to Wielka Oddziałowa, obyta z zamkami jak nikt, bo zasuwą odskakuje szybko i bez zgrzytu. Ogarnia mnie lodowaty powiew, kiedy oddziałowa wślizguje się do środka i przekręca za sobą klucz, widzę jej palce muskające gładkie stalowe drzwi — paznokcie ma tej samej barwy co usta. Dziwny pomarańczowy odcień jak koniec lutownicy. Tak gorący, a zarazem tak zimny, że nikt nie umiałby powiedzieć, czy dotyk oddziałowej mrozi go, czy parzy.

W jednej ręce Wielka Oddziałowa trzyma za konopne ucho wiklinowy koszyk w kształcie skrzynki na narzędzia, taki sam jak te, które Indianie z plemienia Umpqua sprzedają przy szosie w upalne sierpniowe dni. Miała go już, kiedy tu trafiłem. Jest rzadko pleciony, więc widzę, co znajduje się w środku — nie ma tam puderniczki, szminki czy innych kobiecych drobiazgów; koszyk wypełniają po brzegi tysiące zapasowych części, których oddziałowa zamierza użyć w ciągu dnia — zębátky i kółka, wypolerowane, połyskujące złowrogo tryby, a obok nich lśniąca jak porcelana pigułki oraz igły, kleszcze, pincetki, zwoje miedzianego drutu...

Mijając mnie, oddziałowa kiwa głową. Cofam się, ciągnąc za sobą zmywak aż pod samą ścianę, uśmiecham się i

zaciskam powieki, żeby utrudnić aparaturze siostry dokonanie pomiaru — jeśli ktoś ma zamknięte oczy, niełatwo jest przejrzeć go na wylot.

Słyszę w mroku stukot gumowych obcasów i chrzęst żelastwa w koszyku, który kołysze się w rytm oddalających się sztywnych kroków. Kiedy otwieram oczy, oddziałowa skręca właśnie z korytarza do oszklonej dyżurki, w której spędzi najbliższe osiem godzin, siedząc za biurkiem przy oknie wychodzącym na świetlicę, obserwując i notując wszystko, co się będzie działo. Cieszy się z góry — z jej twarzy bije spokój i zadowolenie.

Wtem... dostrzega czarnych sanitariuszy. Wciąż stoją zbici w gromadkę i mruczą coś do siebie. Nie słyszeli, jak wchodzi na oddział. Teraz czują na sobie jej gniewny wzrok, ale jest już za późno. Trzeba być ostatnim głupcem, żeby tak stać i szeptać, kiedy oddziałowa może wejść lada moment. Spłoszeni odskakują od siebie. Ona zaś zniża głowę jak byk i rusza w ich stronę — są na końcu korytarza, nie mają odwrotu. Słyszała, co szeptali, i jest taka wściekła, że nie panuje nad sobą. Taka wściekła, że poukręca skurwysynom łby. Nadyma się, aż biały kitel pęka jej na plecach, i wysuwając kolejne człony, wydłuża ramiona, aż mogłaby nimi otoczyć czarnych pięć albo sześć razy. Obraca na osi potężną głowę i rozgląda się wkoło. Nie ma żadnych świadków, jedynie ten mieszaniec, stary Szczota Bromden, kuli się przy drzwiach ze swoim zmywakiem, ale to niemowa, nie będzie wzywał pomocy. Nic już jej nie powstrzymuje, więc wykrzywia w ohydny grymasie wyszminkowane, uśmiechnięte usta i nadyma się, nadyma, jest już tak wielka jak walec drogowy, tak wielka, że dolatuje mnie zapach jej rozedrganych cylindrów, podobny do woni silnika pracującego pod zbyt dużym obciążeniem. Wstrzymuję oddech i myślę: Boże, tym razem naprawdę wezmą się za czuby! Tym razem zbyt długo tłumili nienawiść,

rozszarpią się na kawałki, nim się zorientują, co robią!

Ale akurat gdy oddziałowa zaczyna opasywać sanitariuszy wydłużonymi ramionami, a oni rzucają się, by wypruć z niej flaki kijami od szczotek, z sypialni wyłaniają się pacjenci zaintrygowani hałasem; oddziałowa musi więc przybrać swoją zwykłą postać, żeby nikt się nie dowiedział, jak ohydne jest jej prawdziwe oblicze. I nim pacjenci na tyle przetrą rozspane oczy, by zrozumieć, co się dzieje, oddziałowa, jak zwykle spokojna i opanowana, z uśmiechem poucza czarnych, że nie powinni tak stać i rozprawiać o niczym, bo dziś jest poniedziałek, a właśnie w poniedziałki jest zawsze najwięcej pracy...

— ...poniedziałki są najgorsze, sami wiecie, chłopcy...

— Tak, siostró Ratched...

— ...czekają na nas liczne obowiązki, więc gdybyście mogli odłożyć pogawędki na później...

— Dobrze, siostró Ratched...

Oddziałowa kończy rozmowę i wita się z pacjentami, którzy stanęli obok i wpatrują się w nią zaczerwienionymi, podpuchniętymi od snu oczyma. Każdemu posyła jedno skinienie głowy. Precyzyjny, automatyczny ruch. Twarz oddziałowej jest gładka, proporcjonalna i precyzyjnie wykonana, jak buzia kosztownej lalki: kremowobiała skóra przypominająca emalię cielistej barwy, błękitne oczka, mały nosek o różowych chrapkach — wszystko pasuje do siebie idealnie oprócz pomarańczowego odcienia ust i paznokci siostry oraz rozmiaru jej biustu. Musiano się pomylić na taśmie montażowej i wyposażono ten skądinąd doskonały wyrób w ogromne niewieście piersi — widać, jak bardzo się tym gryzie.

Pacjenci wciąż stoją, ciekawi, czego chciała od czarnych, a to jej przypomina, że byłam świadkiem całego zajścia.

— Skoro mamy dziś właśnie poniedziałek — mówi — co

wy na to, chłopcy, gdyby tak na dobry początek od razu ogolić biednego pana Bromdena, nim po śniadaniu wszyscy pognają do umywalni, i uniknąć... hm... poruszenia, które zwykle wywołuje?

Zanim czarni zaczną się za mną rozglądać, gramolę się szybko do schowka na szczotki, zatraskuję drzwi i wstrzymuję oddech. Golenie przed śniadaniem jest najgorsze. Człowiek jest silniejszy i bardziej rozbudzony, kiedy coś przekąsi, a wtedy trudniej jest skurwysynom z Kombinatoru zamienić maszynkę do golenia na jedno z ich urządzeń. Ale gdy golą człowieka przed śniadaniem, tak jak czasami mnie na polecenie oddziałowej — o wpół do siódmej, w pomieszczeniu, gdzie wszystko jest białe, ściany, umywalki i długie jarzeniówki na suficie, w których świetle nie padają cienie, a za taflami luster wyją uwięzione twarze — to wobec ich urządzeń jest zupełnie bezradny!

Stoję ukryty w schowku i nasłuchuję, serce wali mi w ciemnościach, staram się opanować strach, zająć czymś umysł, sięgnąć pamięcią do życia w wiosce nad wielką rzeką Kolumbia, przypomnieć sobie, jak... aha... pewnego razu tata i ja polowaliśmy na ptactwo w cedrowym gaju w pobliżu The Dalles... Ale tak jak zawsze, kiedy chcę uciec myślami w przeszłość i się w niej schować, strach, który jest pod ręką, przenika przez warstwę wspomnień. Czuję, że najmniejszy sanitariusz nadchodzi korytarzem, węsząc za moim lękiem. Rozchyła nozdrza jak czarne leje, wysuwa w lewo i w prawo nienaturalnie wielką głowę i wciąga w płuca woń lęku z całego oddziału. Poczuję mnie, słyszę, jak parska. Jeszcze nie wie, gdzie się ukryłem, ale już złapał mój trop i szuka dalej. Zastygam w bezruchu...

(Tata ostrzega, że bym się nie ruszał, bo pies zwęszył ptaka gdzieś bardzo blisko. Pożyczyliśmy pointera od jednego faceta w The Dalles. „Wioskowe psy to nic niewarte kundły

— mówi tata — żrą rybce bebechy i są do niczego: ten pies ma instynkt!”. Nie odpowiadam, ale dostrzegłem już ptaka, który siedzi na gałęzi karłowatego cedru — skulona kępka szarych piór. Pies czuje zapach tak silnie, że biega dookoła, nie mogąc się zorientować, skąd płynie. Ptak jest bezpieczny, dopóki się nie poruszy. Całkiem nieźle się trzyma, ale pies węszy, krąży, coraz głośniejszy, coraz bliżej, aż wreszcie ptak się podrywa, rozpościera skrzydła i wyskakuje spomiędzy gałęzi prosto w strumień śrutu z dubeltówki taty).

Nim oddalam się dziesięć kroków od schowka, najmniejszy czarny wraz z jednym z dwóch większych chwytają mnie pod ręce i zaciągają do umywalni. Nie stawiam oporu, nie wydaję żadnego dźwięku. Jeżeli ktoś krzyczy, to bardziej go męczą. Duszę w sobie krzyk. Duszę krzyk, dopóki maszynka nie dotknie moich skroni. Do tego momentu nie jestem pewien, czy to jedno z ich urządzeń, czy zwykła golarka, ale gdy dotknie skroni, dłużej nie mogę się powstrzymać. Gdy dotknie skroni, siła woli nie zdaje mi się na nic. Tak jakby ktoś... włączył mnie niczym syrenę przeciwlotniczą, Alarm, Alarm, wyję tak głośno, że żaden dźwięk nie może się z tym równać, ci za lustrzaną taflą wrzeszczą na mnie, zakrywając rękami uszy, poruszają ustami, ale ich krzyki do mnie nie dochodzą. Mój ryk pochłania wszystkie inne dźwięki. Naraz czarni włączają mgiełnicę i spowija mnie zimna biała mgła, gęsta jak śmietana, mógłbym się w niej ukryć, gdyby mnie nie trzymali. Ledwo widzę czubek własnego nosa, a jedyne, co słyszę ponad moim rykiem, to bojowy okrzyk Wielkiej Oddziałowej, która pędzi korytarzem, roztrzając wiklinowym koszykiem na boki pacjentów. Słyszę ją, ale i tak nie mogę się powstrzymać. Wciąż wyję, kiedy oddziałowa wpada do umywalni. Czarni trzymają mnie mocno, a ona wtlacza mi w usta koszyk z całą zawartością i popycha końcem szczotki.

(Nakrapiany ogar ujada gdzieś we mgle, przerażony miota

się bez celu, bo nic nie widzi. Żadnych śladów na ziemi oprócz tych, które sam pozostawia, więc węszy na boki zimnym, czerwonym, gumowatym nosem, ale wdycha tylko zapach własnego strachu, który pali mu wnętrzości jak gorąca para). I mnie będzie tak paliło, kiedy będę wam to wszystko opowiadał, o szpitalu, o niej, o chłopakach — i o McMurphy. Milczałem tak długo, że wypłynie to ze mnie z hukiem wezbranej wody, a wy pewnie pomyślicie, że facet, który to opowiada, bredzi, cholera, i majaczy; pomyślicie, że to wszystko jest zbyt straszne, żeby mogło się wydarzyć naprawdę, zbyt potworne, żeby było prawdziwe! Zrozumcie, proszę, że trudno mi jest zachować jasność myśli, kiedy do tego wracam. Ale to wszystko prawda, nawet jeśli nie miało miejsca.

Kiedy mgła opada i znów zaczynam widzieć, okazuje się, że jestem w świetlicy. Tym razem nie wzięli mnie do wstrząsówki. Pamiętam, że wyprowadzili mnie z umywalni i zamknęli w izolatce. Nie pamiętam, czy dali mi śniadanie. Pewno nie. Czasami, gdy siedzę rano zamknięty w izolatce, czarni biegają po dokładki — niby dla mnie — aż wszyscy trzej najedzą się do syta, a ja leżę na cuchnącym moczem materacu i patrzę, jak opychają się moim śniadaniem. Czuję zapach tłuszczu od jaj na bekonie i słyszę, jak grzanki chrupią czarnym w zębach. W inne dni przynoszą i wmuszają we mnie zimną nieposoloną papkę kukurydzianą.

Ale dzisiejszego ranka nie pamiętam. Tak mnie nafaszerowali różnymi świństwami uchodzącymi tu za lekarstwa, że pierwsze, co do mnie dociera, to odgłos otwierających się drzwi. Drzwi wejściowe otwierają się najwcześniej o ósmej, więc co najmniej półtorej godziny przeleżałem bez czucia w izolatce — w tym czasie technicy

mogli mi wmontować na polecenie Wielkiej Oddziałowej całe mnóstwo lichy wie jakich urzędów.

Słyszę hałas przy drzwiach wejściowych na samym końcu korytarza, poza moim polem widzenia. Kiedy już raz otworzą się o ósmej, to potem łup! łup! otwierają się i zamykają przynajmniej tysiąc razy w ciągu dnia. Każdego ranka po śniadaniu siadamy w świetlicy pod ścianami, mieszamy łąmigłówki i nasłuchujemy zgrzytu zamka, ciekawi, kto wejdzie. Nie mamy nic innego do roboty. Czasami wpada jakiś młody stażysta, żeby zobaczyć, jak się zachowujemy Przed Podaniem Leków. Nazywają to w skrócie „pepeelem”. Innym razem to żona któregoś z pacjentów — stukocze wysokimi obcasami, przyciskając do brzucha torebkę. Kiedy indziej to stadko nauczycielek ze szkoły podstawowej, oprowadzane po szpitalu przez tego idiotę rzecznika prasowego, który wciąż pociera spocone łapska i mówi, jak to dobrze, że w szpitalach dla umysłowo chorych nie ma już tego okrucieństwa co dawniej: „Ale tu przyjemnie, prawda?”. Krąży wokół nauczycielek, które dla bezpieczeństwa zbijają się w gromadkę, i trze łapę o łapę. „Kiedy pomyślę, jak to dawniej wyglądało, brud, złe jedzenie, a nawet brutalne traktowanie, dopiero wtedy, szanowne panie, zdaję sobie sprawę, jak wielki osiągnęliśmy postęp!”. Zwykle nie przychodzi tu nikt interesujący, ale wciąż liczymy na to, że następnym razem będzie inaczej, więc ilekroć słyhać klucz wsuwający się do zamka, wszystkie głowy podrywają się gwałtownie, jakby kto szarpnął za sznurek.

Tego ranka zamek zgrzyta inaczej; najwyraźniej to nikt z naszych stałych gości. To konwojent, bo zaraz dobiega nas zdenerwowany, niecierpliwy głos: — Przyprowadziłem nowego pacjenta, niech mi ktoś pokwituje odbiór! — i czarni pędzą.

Nowy pacjent. Wszyscy przerywają grę w karty albo w

monopol i spoglądają na drzwi do świetlicy. Normalnie sprzątałbym teraz korytarz i zobaczył, co to za jeden, ten nowy, ale dziś, jak już mówiłem, Wielka Oddziałowa wepchnęła mi do brzucha tonę żelastwa i nie mogę wstać z krzesła. Zwykle pierwszy oglądam każdego nowego, widzę, jak wślizguje się bojaźliwie do środka, stawia krok czy dwa i zatrzymuje się spłoszony przy ścianie, czekając, aż czarni odbiorą go od konwojenta i zaprowadzą pod prysznic, gdzie ściągają mu ubranie i zostawiają go drżącego z zimna przy otwartych drzwiach, a sami wylatują uśmiechnięci na korytarz szukać wazeliny.

— Potrzebujemy wazeliny — mówią Wielkiej Oddziałowej — żeby nasmarować termometr.

Oddziałowa patrzy po ich twarzach.

— Nie wątpię, chłopcy — odpowiada, wręczając im co najmniej czterolitrowy słój. — Tylko przypadkiem nie wchodzić tam wszyscy.

Potem widzę dwóch, a może wszystkich trzech sanitariuszy, jak wchodzi do umywalni, gdzie czeka nowy pacjent, i cały czas mruczając: „spokojnie, maleńki, spokojnie”, obracają termometr w wazelinie, aż pokryje się nią na grubość palca, po czym zamykają drzwi i odkręcają wszystkie kurki pryszniców, tak że nie słysząc nic oprócz gniewnego syku wody na zielonych kafłach. Zwykle jestem na korytarzu, więc wiem, jak to się odbywa.

Ale tego ranka siedzę na krześle i tylko słyszę, że prowadzą nowego. Chociaż go nie widzę, wiem, że nie jest to zwyczajny pacjent. Ani nie przemyka się bojaźliwie pod ścianą, ani też nie przytakuje sanitariuszom słabym szeptem, kiedy mówią mu o prysznicu, lecz śmiałym, donośnym głosem odpowiada, że nie, dziękuje, chromoli prysznic, jest czysty jak rzadko!

— Musiałem brać prysznic dziś rano w sądzie i wczoraj

wieczorem w kiciu. A w taksówce, kiedyśmy tu jechali, wymyliby mi uszy, gdyby tylko mieli czym. Rany, ilekroć mnie gdzieś wysyłają, muszę się szorować przed, po i w trakcie podróży. Tak mi to już weszło w krew, że gdy tylko słyszę plusk wody, od razu zaczynam pakować manatki. Uciekaj z tym termometrem, kochasiu, daj mi się rozejrzeć po mojej nowej chacie; w klinice psychiatrycznej jestem pierwszy raz!

Pacjenci patrzą po sobie ze zdumieniem, a potem zerkają na drzwi, zza których dobiega głos. Nowy mówi o wiele głośniej, niżby potrzebował, gdyby czarni stali koło niego. Mówi tak, jakby znajdował się gdzieś nad nimi, płynął pięćdziesiąt metrów nad ziemią i krzyczał do ludzi czekających w dole. Musi być ogromny. Słyszę, jak idzie korytarzem, i poznaję po jego krokach, że jest ogromny; wcale nie przemyka się pod ścianą — ma podkute żelazem obcasy, które dzwonią o posadzkę niczym końskie podkowy. Staje w drzwiach, zahacza kciuki o kieszenie i stoi tak w szerokim rozkroku, a wszyscy gapią się na niego.

— Czołem, chłopaki.

Podnosi rękę i lekkim uderzeniem wprawia w ruch papierowego nietoperza, który wisi na sznurku w drzwiach od czasu Halloween.

— Fajna dziś pogoda, no nie?

Głos ma podobny do głosu taty, dziarski i tubalny, ale sam nie jest do taty podobny; tata był czystej krwi Indianinem, wodzem, twardym i lśniącym jak kolba karabinu. Natomiast nowy to rudzielec — ma długie ryże baki i widoczne spod czapki zmierzwione płomienne kędziory, które dawno nie widziały nożyczek — równie szeroki, jak wysoki był tata: ma szerokie bary, szczękę i klatkę piersiową, szeroki zuchwały uśmiech, i też jest twardy, ale inaczej niż tata — twardy jak piłka baseballowa pod wytartą skórą. Nos i policzek przecina

mu blizna, z której jeszcze nie zdjęto szwów — ktoś go musiał porządnie zdzielić w jakiejś niedawnej bójce. Nowy stoi i czeka, a że nikt mu nie odpowiada, wybucha śmiechem. Nie wiadomo, dlaczego mu tak wesoło; przecież nie dzieje się nic zabawnego. Śmieje się inaczej niż rzecznik prasowy; śmieje się głośno i swobodnie, śmiech wypływa z jego rozchylonych ust i zataczając coraz większe kręgi, tłucze o ściany oddziału. Różni się od śmiechu tłustego rzecznika. Jest szczerzy. Nagle zdaję sobie sprawę, że takiego śmiechu nie słyszałem od lat.

Nowy przypatruje się nam, kołysząc się na piętach, i zanosí od śmiechu. Splata ręce na brzuchu, nie wyjmując kciuków z kieszeni — widzę, jakie ma wielkie i pokancerowane dłonie. Wszyscy na oddziale, zarówno pacjenci, jak i personel, oniemieli na dźwięk jego śmiechu. Nikt go nie ucisza, nikt się nie odzywa. Nowy przestaje się wreszcie śmiać i wchodzi do świetlicy. Ale śmiech wciąż rozbrzmiewa wokół niego, tak jak wokół wieży dźwięk dzwonu, który dopiero co przestał bić — jest w jego oczach, uśmiechu, ruchach i mowie.

— Nazywam się McMurphy, chłopaki, Randle Patrick McMurphy, jestem karciarz i błazen! — mruga, śpiewa urywek piosenki — „...jak ktoś przy mnie w karty rypie, ja też forszę na stół sypię...” — i znów parska śmiechem.

Podchodzi do stolika, przy którym grają Okresowi, grubym paluchem przegina jednemu karty, zerka w nie i kręci głową.

— Tak, po to tu przybyłem, koledzy, żeby was trochę rozerwać przy zielonym stoliku. Na farmie penitencjarnej w Pendleton orznąłem wszystkich i nie miałem już nic do roboty, więc wystąpiłem o przeniesienie, kapujecie? Brakło mi świeżej krwi. Kurczę, patrzcie, jak ten gość trzyma karty, wszyscy widzą, co ma; rany! W mig was oskubię!

Cheswick zakrywa karty. Rudzielec podaje mu rękę.

— Cześć, stary. W co gracie? W bezika?! Chryste, nic

dziwnego, że nie pilnujesz kart. Nie macie pełnej talii? Zresztą mniejsza, na wszelki wypadek wziąłem własną, lepszą od normalnych — spójrz na te obrazki. Każda inna. Pięćdziesiąt dwie pozycje.

Cheswick i tak ma wyłupiaste oczy, ale to, co widzi, sprawia, że wychodzą mu z orbit.

— Spokojnie, tylko ich nie pobrudź, czasu mamy mnóstwo, mnóstwo gier przed nami. Lubię grać własną talią, bo zwykle mija przynajmniej tydzień, zanim inni zaczynają rozróżniać kolory...

Nowy ubrany jest w robocze drelichy tak spłowiałe od słońca, że mają barwę rozwodnionego mleka. Jego twarz, szyja i ręce są czerwonobrązowe od długich godzin pracy w polu. Na ramieniu trzyma skórzaną kurtkę, na głowie ma czarną cyklistówkę, a na nogach szare, zakurzone buciory — ten, którego by nimi kopnął, rozpadłby się na kawałki. Odchodzi od Cheswicka, zdejmuje cyklistówkę i wali się nią o udo, wzbijając tumany kurzu. Jeden z czarnych chce go zająć od tyłu z termometrem, ale nowy jest za szybki; wchodzi między Okresowych i zaczyna im ścisnąć graby, zanim czarny zdąży wycelować. Odzywki, mrugnięcia, donośny głos i butny krok nowego przywodzą mi na myśl sprzedawcę samochodów albo licytatora na aukcji bydła, albo może nawoływacza w pasiastej bluzie ze złotymi guzikami, który stoi przed jarmarczną budą pod łopoczącymi transparentami i przyciąga ludzi jak magnes.

— Opowiem wam szczerze, jak to było: otóż wdałem się na farmie w parę bójek i sąd orzekł, że jestem psychopata. I co, miałem się spierać z sądem? Ani mi było w głowie! Mogli mnie nazywać, jak chcieli, psychopata, wściekłym psem czy wilkołakiem, bylebym tylko wykpił się od pielienia groszku i więcej na oczy nie oglądał gracy. Powiedzieli mi, że psychopata to taki gość, który za często wdaje się w bójki i

za często pieprzy babki, ale to chyba im się coś popieprzyło, no nie? Bo czy słyszał kto kiedy, żeby facet był syty dymania? Cześć, stary, jak się nazywasz? Ja jestem McMurphy i z miejsca stawiam dwa dolary, że nie wiesz, ile masz punktów w kartach, które trzymasz. Nie patrz! Dwa dolary, co ty na to? Niech cię cholera, kochasiu, nie możesz zaczekać? Musisz mnie dźgać tym termometrem?

Nowy stoi przez chwilę i rozgląda się po świetlicy, żeby zorientować się w sytuacji.

Po jednej stronie młodszy pacjenci, zwani Okresowymi, bo lekarze sądzą, że z czasem uda się ich jeszcze wyciągnąć z choroby, mocują się na ręce i ćwiczą karciane sztuczki, przy których, jeżeli ileś się tam doda, odejmie i policzy, wyjdzie taka to a taka karta. Billy Bibbit uczy się robić skrety, a Martini krąży po sali, zagląda pod stoły, krzesła i odkrywa cuda. Okresowi wciąż wędrują po sali. Opowiadają kawały i chichoczą, zasłaniając dłońmi usta (nikt nie ma odwagi głośno się roześmiać, bo zaraz zleciałby się cały personel, żeby zadawać pytania i sporządzać notatki), piszą listy żółtymi ogryzkami ołówków.

Szpiegują się nawzajem. Od czasu do czasu któryś nieopatrznie powie coś o sobie, a wtedy jeden z siedzących przy tym samym stoliku ziewa, wstaje i niby od niechcenia podchodzi do wielkiego dziennika przy oknie dyżurki, żeby zapisać, co usłyszał. Wielka Oddziałowa mówi, że ma to terapeutyczne znaczenie dla całego oddziału, ale ja wiem, że idzie jej tylko o zebranie w dzienniku dostatecznych danych, aby odesłać któregoś z pacjentów na remont generalny do głównego budynku, gdzie rozmontują mu głowę i naprawią, co trzeba.

Ten, kto wpisze donos do dziennika, dostaje gwiazdkę przy

nazwisku i nazajutrz może spać do późna.

Po drugiej stronie sali, naprzeciwko Okresowych, siedzą Chronicy, wybrakowane produkty Kombinatu. Nie po to są w szpitalu, by poskładano ich do kupy, ale żeby nie chodzili po świecie i nie psuli dobrej marki Kombinatu. Personel nie ukrywa, że Chronicy są tu na stałe. Dzieli się ich na Chodzących jak ja, którzy poruszają się o własnych siłach, dopóki dostają jeść, na Wózkarzy i na Rośliny. My, Chronicy — a w każdym razie większość z nas — jesteśmy maszynami, które mają defekty nie do naprawienia, defekty wrodzone lub spowodowane przez kolizje, czołowe zderzenia z tysiącami nieustępliwych przeszkód w ciągu lat; gdy zabierano nas do szpitala, byliśmy wrakami krwawiącymi rdzą gdzieś na złomowisku.

Ale są pośród nas Chronicy, w stosunku do których personel popełnił niegdyś błędy, chorzy, którzy trafili do szpitala jako Okresowi i zostali przeformowani na miejscu. Ellis jest Chronikiem, który najpierw był Okresowym, ale zupełnie się rozregulował, gdy przeciążono go prądem w tej potwornej rzeźni mózgow zwanej przez sanitariuszy „wstrząsówką”. Teraz wisi przybity do ściany w tym samym stanie, w jakim zdjęli go wówczas ze stołu, i w tej samej pozycji: ramiona wyciągnięte na boki, zaciśnięte dłonie, przestרח na twarzy. Wisi przybity do ściany niczym trofeum myśliwskie. Czarni wyciągają gwoździe w porze posiłków i wieczorem, kiedy zaganiają go do łóżka, a także wtedy, gdy muszą go przesunąć, żebym wytarł kałużę, w której stoi. W starym szpitalu stał w jednym miejscu tak długo, że jego mocz przeżarł podłogę i strop; Ellis wciąż spadał na oddział poniżej — mieli z nim wieczne utrapienie, bo nigdy się im nie zgadzał stan liczbowy.

Ruckly to kolejny Chronik, który trafił tu przed kilkoma laty jako Okresowy, ale jego przejustowali inaczej: popełnili

błąd przy wmontowywaniu mu do głowy jakiejś instalacji. Rozrabiał bez przerwy, kopał sanitariuszy i gryzł po nogach praktykantki ze szkoły pielęgniarstwa, więc w końcu wzięli go do warsztatu. Przymocowali go paskami do stołu i wtedy, zanim zatrzasnęli drzwi i na pewien czas straciliśmy go z oczu, mrugnął do nas, po czym krzyknął za odchodzącymi sanitariuszami:

— Zapłacicie mi za to, przeklęte czarnuchy!

Kiedy dwa tygodnie później przyprowadzili go na oddział, był ogolony na zero, jego twarz wyglądała jak rozogniony, fioletowy siniec, a w czoło miał wszyte wtyczki wielkości małych guziczków. Widać po jego oczach, że zupełnie wypalono go w środku; są przydymione, szare i puste jak zepsute korki. Całymi dniami nic nie robi, trzyma tylko przy wypalonej twarzy starą fotografię i wciąż obraca ją w zimnych palcach — od tego miętoszenia zdjęcie jest wytarte i po obu stronach szare jak jego oczy; nie wiadomo nawet, co kiedyś przedstawiało.

Personel uważa zabieg na Rucklym za niewypał, ale ja nie sądzę, by żyło mu się gorzej, niż gdyby instalacje działały bez zarzutu. Instalacje wmontowywane obecnie funkcjonują zazwyczaj doskonale. Technicy nabrali wprawy i doświadczenia. Ani nie potrzebują wiercić dziurek w czole, ani nic ciąć — dostają się do mózgu poprzez oczodoły. Bywa, że pacjent idący na zabieg ma zły, podły i kłótny charakter, kiedy opuszcza oddział, a gdy wraca po kilku tygodniach z sińcami wokół oczu, jakby oberwał w bójce, jest miły, układny i łagodny jak baranek. Niekiedy zdarza się nawet, że po paru miesiącach wraca do domu, w kapeluszu zsuniętym nisko na twarz lunatyka wędrującego po świecie w błogim, nieskomplikowanym śnie. Personel nazywa to sukcesem, ale dla mnie taki człowiek jest po prostu kolejnym robotem Kombinat — lepiej by mu się wiodło, gdyby był niewypałem

jak Ruckly, który ślini się i międli fotografię. Niewiele robi poza tym. Czasami tylko czarnemu karłowi udaje się wywołać reakcję, kiedy nachyla się nad nim i pyta:

— Jak sądzisz, Ruckly, gdzie twoja żona baluje dziś wieczorem?

Ruckly unosi wzrok. Gdzieś pośród zdezelowanej maszynerii tyka pamięć. Krew uderza mu do głowy, żyły tężeją. Wtedy jego twarz nabrzmiewa straszliwie i chory z trudem rzezi coś w głębi krtani. Tak bardzo stara się wydobyć z siebie głos, że szczeka dygocze mu z wysiłku, a w kącikach ust gromadzą się pęcherzyki śliny. Kiedy wreszcie coś wykrztusza, jest to niski, zduszony szept, na którego dźwięk wszystkim cierpnie skóra: — Pppppppierdołę żonę! Pppppppierdołę żonę! — i Ruckly mdleje z wysiłku.

Ellis i Ruckly to najmłodszy Chronicy. Najstarszym jest pułkownik Matterson, stary, zasuszony kawalerzysta z pierwszej wojny światowej, który z upodobaniem zadziera laską fartuchy pielęgniarek albo czytając z lewej dłoni, naucza swoistej historii każdego, kto gotów jest słuchać. Pułkownik to najstarszy pacjent na oddziale, chociaż bynajmniej nie jest tu najdłużej — żona oddała go do szpitala zaledwie przed kilku laty, kiedy sama nie miała już sił nim się opiekować.

To ja jestem na oddziale najdłużej ze wszystkich, od końca drugiej wojny światowej. Nikt nie jest tu dłużej. Żaden z pacjentów. Tylko Wielka Oddziałowa jest tu dłużej ode mnie.

Na ogół Chronicy i Okresowi zachowują wobec siebie dystans. Tak jak sobie życzą czarni, i jedni, i drudzy trzymają się swojej części świetlicy. Czarni twierdzą, że dzięki temu panuje przynajmniej porządek, i dają nam poznać, że są przeciwni zmianom. Przyprawiają nas po śniadaniu do świetlicy, patrzą, gdzie stajemy, i kiwają głowami.

— Słusznie, panowie, grunt to porządek! Porządek musi

być!

Prawdę mówiąc, nie potrzebują nas pouczać, gdyż oprócz mnie mało który Chronik się porusza, a Okresowi wolą pozostawać po swojej stronie, bo — jak mówią — nasza cuchnie gorzej niż zafajdana pielucha. Ale ja wiem, że to nie tyle smród powstrzymuje ich od zbliżania się do Chroników, co obawa, że i oni mogą kiedyś tak wyglądać. Wielka Oddziałowa zna te lęki i wie, jak je wykorzystać; jeżeli jakiś Okresowy zaczyna się dąsać, mówi mu, że jeśli nie chce skończyć po tamtej stronie, powinien być zdyscyplinowanym pacjentem i współpracować z personelem, który chce go przecież wyleczyć.

(Współpraca pacjentów jest dumą całego oddziału. Mamy nawet przybitą do klonowej deseczki mosiężną tabliczkę z napisem: **W DOWÓD UZNANIA ZA DOBRĄ WSPÓŁPRACĘ Z NAJMNIJ LICZNYM PERSONELEM W CAŁYM SZPITALU.** To nasza nagroda. Wisi na ścianie nad dziennikiem, dokładnie pośrodku między Chronikami a Okresowymi).

Nowy rudzielec, McMurphy, od razu wie, że nie jest Chronikiem. Rozgląda się przez chwilę po świetlicy, a widząc, że należy do Okresowych, szybko przechodzi na ich stronę i uśmiechnięty od ucha do ucha ścisną rękę wszystkim po kolei. Z początku krępują ich jego dowcipy, żarty i gromki głos, kiedy pokrzykuje na czarnego, który wciąż depcze mu po piętach, trzymając termometr, a już najbardziej krępuje ich jego tubalny śmiech. Na ten dźwięk wirują igły na pulpicie sterowniczym. Okresowi mają niewyraźne i wystraszone miny, tak jak dzieciaki w szkole, kiedy któryś uczeń za bardzo rozrabia, gdy nauczycielka wyjdzie z klasy, a one się boją, że wróci lada moment i za karę zatrzyma ich wszystkich po lekcjach. Kręcą się i wiercą, reagując na ruch igieł na pulpicie — wreszcie McMurphy'emu

zaczyna świtać, że peszy ich swoim zachowaniem, ale mimo to nie spuszcza z tonu.

— Rany, co za banda ponuraków. Wcale mi nie wyglądacie na takich znowu stukniętych. — Stara się ich rozkręcić niczym licytator, który przed aukcją sypie dowcipami. — No, który z was ma się za największego świra? Komu brak najwięcej klepek? Komu podlega szulerka? To mój pierwszy dzień, więc chciałbym od razu zrobić dobre wrażenie na szefie, jeśli mi udowodni, że jest większym pomyłeńcem ode mnie. No, który tu jest królem wariatkowa?

Mówiąc to, patrzy na Billy'ego Bibbita. Nachyla się i wpatruje w niego tak natarczywie, że Billy czuje się zmuszony wyjąkać, że nie jest jeszcze kró-kró-kró-królem wariatkowa, choć jest następnym w ko-ko-kolejce do tego tytułu.

McMurphy podtyka mu pod nos swoje łapsko i Billy, chcąc nie chcąc, musi je uścisnąć.

— No, stary — mówi rudy do Billy'ego — cieszę się, że jesteś następnym w ko-kolejce, ale ponieważ sam chcę przejąć cały ten interes jak leci, muszę gadać bezpośrednio z szefem.

Patrzy w stronę stołu, przy którym kilku Okresowych przerwało grę w karty, nakrywa jedną rękę drugą i z głośnym trzaskiem wyłamuje sobie palce.

— Widzisz, stary — ciągnie — zamierzam zostać karcianym hersztem oddziału i rznąć w oko od rana do nocy. Lepiej z mety prowadź mnie do szefa; raz na zawsze ustalimy, kto tu teraz rządzi.

Nikt nie jest do końca pewien, czy ten barczysty facet z blizną i szalonym uśmiechem tylko się zgrywa, czy też rzeczywiście jest aż tak pomyłony, że cały czas gada serio, czy może jedno i drugie, ale wszyscy zaczynają się dobrze bawić. Patrzą, jak kładzie czerwone łapsko na szczupłym ramieniu Billy'ego, i czekają na jego odpowiedź. Billy widząc, że się nie wymiga, rozgląda się po świetlicy i

zatrzymuje wzrok na jednym z grających w bezika.

— Harding — mówi — chyba cho-cho-chodzi o ciebie. Jesteś p-przewodniczącym sa-sa-samorządu pacjentów. T-ten człowiek chce z tobą mówić.

Okresowi nie są już skrepowani, uśmiechają się teraz, radzi, że nareszcie się coś dzieje. Żartują sobie z Hardinga, pytając, czy naprawdę jest królem wariatkowa. Harding odkłada karty.

Jest to szczupły, nerwowy mężczyzna o twarzy, która sprawia wrażenie, że widziało się ją na filmie, bo jest za ładna, żeby należeć do zwykłego śmiertelnika. Harding wtula głowę w szerokie, chude ramiona, kiedy ma ochotę skryć się w sobie. Jego dłonie są długie, białe i tak delikatne, jakby jedna drugą wyrzeźbiła z mydła — czasami wymykają się i fruują mu przed twarzą niby dwa białe ptaki, dopóki tego nie zauważy i nie uwięzi ich między kolanami; wstydzi się, że ma takie ładne ręce.

Jest przewodniczącym samorządu pacjentów, ponieważ ma dyplom wyższej uczelni. Dyplom ten, oprawiony w ramki, stoi na nocnym stoliku Hardinga obok fotografii kobiety w kostiumie kąpielowym, która również sprawia wrażenie, że się ją widziało na filmie — ma bardzo duże piersi i podtrzymując nad nimi kostium koniuszkami palców, patrzy w bok do obiektywu. Za nią widać siedzącego na ręczniku Hardinga: w kąpielówkach wygląda na cherlaka, do którego zaraz podejdzie jakiś umięśniony drażal i sypnie mu piaskiem w oczy. Harding lubi się przechwalać, jaką to on ma żonę, mówi, że jest najbardziej seksowną babką na świecie, a w nocy nigdy nie ma go dosyć.

Kiedy Billy wskazuje na niego, Harding odchyła się na krześle, przybiera ważną minę i nie patrząc ani na Billy'ego, ani na McMurphy'ego, pyta wyniośle:

— Słuchajcie, Bibbit, czy ten... interesant ma umówione

spotkanie?

— Czy jest pan umówiony, panie McMurphy? Pan Harding to bardzo zajęty człowiek, trzeba mieć z góry wyznaczone spotkanie, żeby się z nim zo-zobaczyć.

— A czy ten bardzo zajęty człowiek, pan Harding, jest królem wariatkowa? — McMurphy patrzy spod oka na Billy'ego i Billy zaczyna szybko kiwać głową, szczęśliwy, że tyle mu się poświęca uwagi.

— Proszę więc powiedzieć królowi wariatkowa, panu Hardingowi, że Randle Patrick McMurphy chce się z nim zobaczyć i że ten szpital jest za mały, by pomieścić nas obu. Przywykłem kroczyć na czele. Byłem królem traktorzystów przy wyrębie lasu na cały Oregon i sąsiednie stany, a królem szulerów od powrotu z Korei i nawet królem opielaczy groszku na farmie w Pendleton — więc pomyślałem, że skoro już mam być wariatem, to też muszę być pierwszym i najlepszym! Powiedz temu Hardingowi, że albo się spotka ze mną twarzą w twarz, albo jest śmierdzącym tchórzem i ma się wynieść z miasta przed zachodem słońca.

Harding opiera się wygodniej i zakłada kciuki za kłapy marynarki.

— Bibbit, powiedzcie temu młokosowi McMurphy'emu, że spotkam się z nim na korytarzu w samo południe. Zobaczymy, co jego ogniste libido jest naprawdę warte! — Harding usiłuje cedzić słowa jak McMurphy, ale w jego wykonaniu brzmi to śmiesznie, bo głos ma urywany i piskliwy. — Uprzedźcie go też, by wiedział, na kogo się porywa, że od blisko dwóch lat jestem niepodzielnym władcą tego wariatkowa i najbardziej szalonym człowiekiem na świecie!

— Panie Bibbit, proszę uprzedzić pana Hardinga, że jestem tak szalony, że głosowałem na Eisenhowera i wcale tego nie ukrywam!